Nr. 3. We Lwowie dnia 15. stycznia 1894. Rok II.



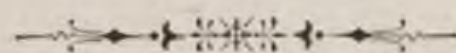
Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

JULJUSZA SŁOWACKIEGO

GŁOS Z WYGNANIA.

(Z RĘKOPISU).





Z dalekiej i obcej ziemi my, wygnańce, śmiemy do Ciebie mówić nieszczęśliwy Narodzie.

Oto nas Bóg oddalił od Ciebie, najdroższa Matko, za ciężkie grzechy nasze.

Wśród licznego Narodu jesteśmy jako na puszczy, bo kamieniami i drzewami są nam ludzie, którzy Twego jęku nie słyszą.

Już od smutku wyschły piersi nasze, a jako wicher upalny niszczy kłosy jęczmienne, tak nas wieść o nieszczęściach Twoich.

I zginąć nie możem, ratując Was, bo snać nam Ojciec niebieski jeszcze dni nasze do służby dla Was zachował.

I dał nam tu na wygnaniu poznać ciężkie winy nasze, iżeśmy żyjąc w rodzinnej ziemi nie pełnili Jego przykazań.

Pragnęliśmy swobody i szczęścia, a w ucisku i nędzy zostawali nasi bracia chłopi.

Ci, co jeszcze od Polski odebrali opiekę nad nimi, jako źli ojczymowie nie szanowali sierót, które im matka konając powierzyła.

O ciężka dola Twoja, nieszczęśliwy rodzie szlachecki, ale i ciężki jest grzech Twój.

W narodzie licznym, jak gwiazdy na niebie, Tyś jaśniał, jako słońce, promieniami cnoty Twojej.

Któż wypowie złotą wolność i moc ziemską jaką miałeś, gdy drżeli przed Tobą monarchowie świata.

Nad czystemi ich sercami królowała Najświętsza Panna, Boga Rodzica.

Ale ojczymostwem względem ludu niegodnymi się stali tej łaski.

I odwrócił Pan oblicze swoje od nieprawości naszych.

Dziedzictwo Ojców od morza oddał nieprzyjaciołom niezbożnym, rozproszył społem szlacheckie i chłopskie syny na nędzę tułacką.

Na dumne karki nadepnęła nikczemna noga, a płacz sierót zaległ ziemię całą.

Aż w niezbożnem zaślepieniu synowie jednej Matki bratobójczej nożami wylali potoki krwi własnej.

Stanąłeś nad przepaścią, szlachecki rodzie: u stóp Twoich śmierć i piekło, a tam w górze Bóg i Polska.

Wyrwij duszę z ziemskich kałów, czyste serce wznieś do Boga.

Znaj w karaniu rękę Boga i chwal Ojca, że ją zsyła ku poprawie.

Mierzysz chłopa swym rozumem, a on wyższy jest nad Ciebie wiarą swoją.

Jako niegdyś Twoi Ojcowie, on dziś pragnie zginąć za Nią.

Bądź mu równym w miłości i w bojaźni Boga, byś go uszanował jako brata rodzonego.

Uszanuj grubą siermięgę, bo to strój przyszłych żołnierzy, co Polskę wywalczą.

Razem z ludem idź do kościoła, byś w pokorze i modlitwie dał mu serce swoje.

Stań się ojcem chrzestnym dziecięciu chłopskiemu, opiekunem wdowie i sierotom, i przyjacielem, pocieszającym rodzinę zmarłego.

Pogardź zbytkiem, byś nie hańbił darów boskich, ale zrób z nich sprawiedliwość rękom, które na nie pracowały.

Ty i lud wiosek twoich niechaj będą jak rodzina poświęcona prawem Boga.

I zdobędziesz serce sercem, a gdy czasy będą spełnione, chłop ci poda swą prawicę do budowy wielkiej.

I odrodzisz się na ziemi, w bohaterów się przemienisz — wy i chłopi świat zbawicie.

Jako wylew wiślany niszczy stuletnie dęby i skały ogromne,

Tak my zniszczymy nieprzyjaciół naszych.

Bo siła nasza będzie większą, niż siła piorunu, i struchleje przed nią wróg.

I zmartwychwstanie Ojczyzna nasza w wiecznej sławie i szczęściu.



PIOSENKA.



Moje cudne skrzypki małe,
Grajcie dni, tygodnie całe,

Pieśń po strunach niech przelata
W długie czasy, w długie lata.

Niech piosenka, co z was leci,
Ukołysze płacz u dzieci,

Niech piosenka, co z was płynie,
Serce ukoi dziewczynie.

Niech piosenka, co z was bucha,
Młodzieńcowi wznosi ducha,

Niech nad siwą starca głową
Łuną wspomnień drży różową.

Moje cudne skrzypki małe,
Grajcie dni, tygodnie całe.

Niech piosenka iskrą cudu
W pierś smętnego wpadnie ludu.

Niech się drzwi otworzą chaty
Dla tej jasnej, dla skrzydlatej.

Słodycz, co się z piosnki leje,
W sercach niech budzi nadzieję,

Niech w słonecznem błyska złocie
Po nad żniwem, przy robocie.

Niech się snuje dźwięczna zwrotka
Z szybkiem tempem kołowrotka,

I niech nad czołem artysty
Pali się, jak płomyk czysty;

Moje skrzypki, skrzypki małe,
Grajcie dni, tygodnie całe.

Pieśń po strunach niech przelata
W długie wieki, w długie lata!

Szczęsna.

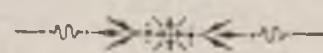


—◦—✲—◦—

Młoda Polska i Stowarzyszenie ludu polskiego

przez

Bolesława Limanowskiego.



(Ciąg dalszy.)

Widzieliśmy, jak Stowarzyszenie »Ludu Polskiego« szerzyło się w Królestwie Kongresowem, na Rusi i Litwie. Teraz zwróćmy się do Galicji. O tej prowincji mamy dokładniejsze aniżeli o innych wiadomości, dzięki pamiętnikom Karola Borkowskiego, Franciszka Wiesiołowskiego, Michała Budzyńskiego, Henryka Bogdańskiego, Andrzeja Józefczyka i po części zebranym szczegółom przez Karola Widmana.

* * *

Niepowodzenie wyprawy Zaliwskiego, ściągnęło straszne prześladowania emigrantów, zamieszkałych w Galicji, ze strony władz austrjackich. Kazano im wszystkim wyjeżdżać, a poszlakowanych w wyprawie 1833 roku chwytano i do więzienia zamykano. Nie zrażało to jednak spiskowców i postanowili oni sprawę ludowo-patrjotyczną dalej prowadzić i rozwijać. Szczególnie czynnymi byli Karol Borkowski i Henryk Dmochowski. Wkrótce po swojem przybyciu do Galicji, założyli oni związek pod nazwą »Węglarzy polskich«, podług ogólnej modły węglarstwa europejskiego. Ostateczne ukonstytuowanie się tego stowarzyszenia miało nastąpić — podług świadectwa Henryka Bogdańskiego — w Rzepniowie (u Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego) w dniu 5. listopada 1833 r., w obecności Franciszka Bobińskiego, Leona Zaleskiego, Michała Chodźki, Henryka Dmochowskiego, Napoleona Nowickiego, Józefa Glejnicha, Ignacego Kulczyńskiego, Stanisława Macewicza i Kotkowskiego. »Związek ten, którego zasady i dążenia były czysto demokratyczne — powiada Borkowski — głównie sterował w przygotowaniu i wywołaniu powstania. Składać się miał z ograniczonej liczby członków takich jedynie, którzyby w nim nieodzownie potrzebni i użyteczni być mogli.«*) Opierał się on na dwóch innych podrzędnych, męskim i kobiecym. Pierwszy z nich nosił nazwę »Towarzystwa przyjaciół ludu« i dzielił się na nieograniczoną liczbę kółek, które o sobie nic nie wiedziały. »Każde kółko składało się z pięciu członków, z których każdy obowiązany był mieć w pogotowiu najmniej pięciu ludzi zaufanych i uzbrojonych.«**) W podobny sposób był zorganizowany i związek kobiecy. Zadaniem jego było: »rozkrzewianie miłości Ojczyzny i poświęcenia się dla niej; słowem i czynem dopełnianie uczuć braterstwa przez zbliżanie się do włościan, oraz przez różne środki i zbieranie funduszów pieniężnych.«*)

*) Str. 44. Pamiętnik historyczny o wyprawie partyzanckiej w 1833 r. — Borkowskiego.

**) L. c. str. 44. i 45.

Węglarstwo miało swoje oznaki i swój regulamin. Michał Budzyński opowiada, jak go przyjmowano do związku w domu Konstantego Zaborowskiego. Zasiedli tam: »Michał Ostroróg, mężny oficer, który pod Ostrołęką ośmnaście razy bagnetem był skłuty; Konstanty Zaborowski brat Tymona, ognistego poety, który wczesną śmiercią zgasł dla literatury«, Wincenty Budzyński, brat opowiadającego i Adolf Pilchowski, a przewodniczył im Karol Borkowski »z pełną prawości, twarzą surową i myślącą.«**) — »Po co do nas przychodzisz?« — zapytał Borkowski Michała Budzyńskiego. — »Połączyć się z wami, aby pracować dla szlachetnych celów« — odrzekł ten ostatni. Wypytawszy o zasady religijne i polityczne, Borkowski badał dalej: »My pracujemy dla dobra ludu i ojczyzny naszej, czy chcesz się z nami połączyć?« A kiedy otrzymał twierdzącą odpowiedź, przedstawiał nam trudności i niebezpieczeństwa. »Nieprzyjaciel nasz — mówił — jest silny i liczny, my słabi i dopiero zbierający się«. »Każdy z nas gotów na męczarnie, więzienia i śmierć, a te prawie są pewne«. »My jesteśmy węglarze albo karbonary, ludzie wyklęci i naprzód skazani na miecz, kopalnie i szubienicę«. Lecz kiedy pomimo to Budzyński oświadczał chęć połączenia się z niemi, Borkowski spojrzał mu w oczy i rzekł spokojnym głosem: »Jeżeli nie masz w sobie ducha poświęcenia, jeśli sądzisz, że nie znajdziesz w sobie siły dla wytrwania czekających cię więzień, kajdan, męczarni i śmierci, odstąp od chęci połączenia się z nami, wykonasz nam przysięgę tajemnicy tego, coś dotąd słyszał, a my szanować cię nie przestaniemy, żeś szlachetnie ocenił ducha twego i nad siły nie chciałeś przyjąć obowiązków«. Budzyński trwał jednak przy swojem postanowieniu, został więc przyjęty i zapisany na listę »pod nazwiskiem Kurcjusza, który dla zbawienia Rzymu w przepaść skoczył«.

Z zapałem przyjmowano nowe ludowe przekonania. Stanisław Starzyński złożył pieśń o węglarzach, Jerzy Bułharyn i lekarz Karol Kaczkowski założyli lożę węglarską we Lwowie, a Napoleon Nowicki z Litwy udał się do Krakowa i tam założył takąż lożę. Uwięzienie jednak Borkowskiego 21. marca 1834 r., a następnie Dmóchowskiego w dniu 3. maja tegoż roku, oraz wydalenie Kaczkowskiego z Galicji sprowadziły rozprzężenie i upadek związku węglarskiego. Wniesione jednak przezeń poglądy, nurtowały coraz

*) L. c. str. 45.

**) Wspomnienia z m jego życia — napisał Michał Budzyński. T. I. Poznań 1880. str. 102 i 103.

głębiej i ogarniały coraz szersze koła umysłów. Franciszek Wiesiołowski, wspominając te czasy, ocenia je następującemi słowy: »Jakikolwiek sąd spotka nas w historji, jakkolwiek skutek działań naszych ówczesnych, działań — przyznać należy — dość niedojrzałych i niewytrawnych, nie odpowiedział oczekiwaniu i wiele nawet chwilowych nieszczęść ściągnął na kraj i pojedyncze rodziny, jedno, cośmy osiągnęli i czego nikt nam wydrzeć nie zdoła, jest to, że miłość Ojczyzny, dotąd zawartą wyłącznie w stanie szlacheckim, rozszerzył na inne klasy oświeceńsze narodu«*).

(C. d, n.)



W sprawie napisu tablicy pamiątkowej Kościuszkowskiej.

Wpadł mi do ręki numer »Kurjera Lwowskiego«, w którym podano brzmienie napisu tablicy pamiątkowej Kościuszkowskiej. Nie powiem, bym się zdumiał, bo miałem czas przywyknąć do dziwolągów językowych i stylowych naszego języka »lapidarnego«, których zbiór z nagrobków krakowskich posiadam spory. (Jest między nimi i tablica pamiątkowa ku czci św. Jacka w kościele OO. Dominikanów niedawno tamże wmurowana z błędem gramatycznym łacińskim, mającym widocznie dać wyobrażenie cudzoziemcom o naszej znajomości filologji klasycznej). Więc nie powiadam, bym się zdumiał, ale niemile mię uderzyło lekceważenie tego, co ma wiekom świadczyć o naszej czci względem bohatera racławickiego. Lekceważeniem zaś zwę układanie »naprędce«, czyli — jak mówią z cudzoziemska *impromptu*, przez dyletantów brzmienia napisu, rzeczy, a raczej formy, wchodzącej w zakres językoznawców. Napis przez jednego z nich obmyślony, o ile jest krótkim, o tyle dość obfitym w błędy. Pomijam już nieszczęśliwy wyraz początkowy »Tu«, wprost nieestetycznie uderzający oko, przywykłe, widzieć go gdzieindziej. Lecz cóż znaczy »ślubował bój«. Znam ślub jakiejś cnoty (wiary, czystości, pokory), o ślubie boju nikt chyba nie słyszał — to wprost niezmysł (nonsens, jak mówią). Stanowczo należy zastąpić zwrot ten innym, choćby starym słowem »przysiągł« z bezokolicznikiem.

Drugi niezmysł, który, niestety, plącze się po wszystkich wzmiankach jubileuszowych, godny wspólnik »pośmiertnych« dzieł, to zwrot: »w stuletnią rocznicę«. Czyżby była »studzienna?« Któż powie »drugorzędny rząd?« Czasby już zarzucić to wyrażenie i pisać, jak też poprawnie piszą: »w setną rocznicę«.

Po trzecie mimowolny rym: »rocznicę — tablicę« razi też w napisie, który ma być pomnikowym, a więc powinien ujętym być w formę w swej prostocie piękną i poważną, nie pozwalającą czytelnikowi ani na chwilę zapominać o rzeczy wskutek wad zewnętrznych. A wiemy jak te ostatnie ujemnie wpływają na nastrój każdego.

»Sławmy sławnie sławę sławnych Słowian« — radził Kollar, piewca »Córy Sławy«; idąc za nim, pozwalam sobie przesłać Szan. Redakcji niniejsze uwagi w poczuciu spełnienia obowiązku, pozostawiając Jej sądowi sprawę, czy i w jakiej formie zechce je ogłosić.

Dr. Fr. Krczek.

*) Ustęp z moich wspomnień — przez Franciszka Wiesiołowskiego — w Pamiętniku Borkowskiego. — Bibljoteka pisarzy polskich. — Lipsk 1863. Str. 106.



CUWAKSY.

(Ciąg dalszy.)

I następnie począł zwolna pisać gęsiem, zgrzytającem piórem, bełkocąc sobie pod nosem to, co pisał:

— Wła-dy-sław i Ig-na-cy Ka-li-no-wi-cze, bra-cia bliź-nia-ki, lat 9, Wła-dy-sław bru-net, Igna-cy blon-dyn, twarzy o-wal-nej, nos zwy-kły, o-czy u pierw-sze-go czar-ne, u dru-gie-go niebie-skie, wzrost szczu-pły, szcze-gól-nych znaków żad-nych. — No ruszajcie do djabła!

Strażnik wziął obu braci równocześnie za plecy i wysunął ich za drzwi.

— Ordynans! — krzyknął, i oddając stojącemu u drzwi ordynansowi papier, rzekł: — Odprowadzić tych bębnów, niech się trochę ogrzeją, bo wkrótce całkiem w nich ducha nie stanie.

Strażnik był stary, surowy służbista, ale miał także drobne dzieci i nieraz myślał, co to się z niemi stanie, gdy jego nie stanie? Widok tych biednych chłopaków z bochenkami aresztanckiego chleba pod pachami, zziębniętych, zsiniałych, mokrych i na pół nagich wzbudził litość w jego sercu, a raczej okropną myśl: kto wie, może i dla moich robaków taka sama dola w górze pisana?

Bracia tymczasem w towarzystwie strażnika poszli długim, na pół ciemnym kurytarzem, z którego wychodziło się na jakiś wązki ganek, zacieśniony z jednej strony muzeum gmachu sądowego, a z drugiej parkanem drewnianym, wysokim przeszło na dwa sążnie. Równie wąska, czysto złodziejska furtka prowadziła z tego ganku

na podwórze więzienne, gładkie i puste, usypane szutrem, a gdzieniegdzie wybrukowane płytami kamiennemi, ze wszech stron okolone to murami domów, to wysokimi drewnianymi parkanami. Naprzeciw wchodzących znajdował się długi, dwupiętrowy budynek więzienny, o brudnożółtych ścianach, ciasnych kratowanych oknach, zakrytych w suterenie drewnianymi koszami, zupełnie zasłaniającymi widok, a wpuszczającymi tylko z góry nieco światła dziennego do wnętrza. Po przed oknami po wąskiej brukowanej ścieżce chodził milczący szyldwach z karabinem na ramieniu, w przemokłym płaszczu, chodził tam i napowrót, niemo, miarowym krokiem, jak machina. Zresztą na podwórzu było zupełnie pusto, tylko we drzwiach budynku więziennego stali jeszcze dwaj żołnierze, jeden klucznik i od czasu do czasu przebiegał jeden lub drugi aresztant w siwej sukiennej kurtce, w takichże spodniach i czapce, spiesząc to do warstatu, to do kancelarji. Żołnierze stojący we drzwiach, rozmawiali z klucznikiem, który czegoś śmiał się, głośno pobrzękując kluczami od celi więziennych. Zobaczywszy braci nadchodzących ku sobie, zaśmiał się jeszcze głośniej.

— He, no, cuwaksy! cuwaksy! A, goście do nas, witajcie! Ale do stu djabłów, skądżeście to takich rekrutów wytrzasnęli?

— No, no — rzekł strażnik, prowadzący aresztantów, który idąc za nimi zdołał sylabizując odczytać z papieru ich winę — nie bardzo się z nimi przekomarzajcie! Małe to, małe, ale ptaszki nie lada! Widzicie: za kradzież i skaleczenie! To nie żart!

I pokazał wesołemu klucznikowi papier.

— Fiu, fiu! krzyknął ten, robiąc nagle poważną minę. — Jeżeli tak, to przepraszam. Takich panów trzeba z honorem przyjąć! Zaczekajcie, moi państwo, zaraz wam miarę wezmę, jakiej szubienicy będzie dla was potrzeba!

To mówiąc wydobył z kieszeni drewniany składany łokieć, rozpuścił go i zbliżył się ku Naczkowi, niby rzeczywiście z zamiarem zdjęcia z niego miary. Chłopiec przerażony wzdrygnął się i przycisnął do brata. Chciał krzyknąć, ale głos mu zamarł w piersi.

— Chodź tu! — wrzasnął klucznik, od którego czuć było mocny zapach wódki. — Umiałeś jeden z drugim na szubienicę zarobić, to dajże sobie spokojnie miarę zdjąć.

Obecni żołnierze i strażnik, który przyprowadził aresztantów, stali milczkiem, dusząc się ze śmiechu nad oryginalnym żartem klucznika. Ale chłopcom wcale było nie do żartu. Mróz, osłabienie, ponure otoczenie, wszystko to przygniotło ich umysły; w ohydnym żarcie widzieli okropną rzeczywistość i cofali się przed napierającym klucznikiem. Dopiero Władek, spojrzawszy dokoła, zobaczył roześmiane twarze i poznał, co się święci. Lecz zamiast się rozweselić, oburzył się tym żartem, który ich obu chwilowo taką przejął trwogą. Czarne oczy jego zapłonęły jak dwa węgliki, pięści ścisnęły się, a gdy klucznik, wciąż jeszcze z groźną miną, podstąpił całkiem blizko ku niemu i nachylił się, by przyłożyć łokieć, Władek ze ściśniętemi pięściami rzucił się na niego, bijąc go w twarz, w brodę i piersi co siły i krzycząc urywanym, przytłumionym głosem:

— Psie! Pijaku! Masz! Masz! Ażebyś wiedział, jak sobie masz żarty stroić!

Klucznik odskoczył, niby przez żmiję ukąszony.

— Brawo malec, brawo! Dobrym będziesz rekrutem! — zawołali żołnierze, których jeszcze trzech wyszło z wartowni patrzeć na zabawną scenę.

Okrzyk ten dolał oliwy do ognia. Twarz klucznika nabiegła krwią, zęby zazgrzytały. Ścisnął pięść i odwinął rękę, podstępując ku Władkowi.

— A ty smarkaczu! — wrzasnął — to ty tak do mnie? Nie dość żeś na świecie nabroił, jeszcze i tu będziesz? Na, masz, żebyś wiedział, jak się tutaj zachowywać!

I podniósł pięść, by z całej siły uderzyć Władka w głowę, ale podniesioną rękę zatrzymał w powietrzu kapral.

— Nie, panie — rzekł kapral surowo. — Paneś sam zawinił, nie masz prawa go bić!

— Co? — wrzasnął klucznik, próbując wyrwać rękę. — A pan jakie masz prawo mięszać się do naszego domowego porządku*)?

— Przepraszam — rzekł spokojnie kapral — tu jest nasza wartownia, i tu ja mam prawo trzymać swój porządek. A tam sobie pan rób, co się panu podoba, ja się panu mięszać nie będę.

— No, ja tam tego szczeniaka zabiję! — krzyknął klucznik.

— Dobrze — rzekł z przekąsem kapral — ja będę za świadka.

Podczas całej tej niespodzianej kłótni bracia stali w kącie pod ścianą, stuleni do kupy, wybledli, drżący i wystraszeni. Dziecięce serca ich ściskały się z trwogi na wstępie w ten nowy, tak odmienny a tak okropny świat, który połknął ich, jak mniemali, bezpowrotnie, jak jakiś straszny, nienasycony potwór połyka swą ofiarę.

— Panie Trapiszewski — rozległ się nagle głos z głębi sieni. — A panu co takiego? Czego pan tak krzyczysz na cały kryminał.

*) Austrjackie ustawy o postępowaniu karnem, zawierają nadzwyczaj liberalne przepisy co do położenia więźniów we więzieniu śledczem, z tym jednak dodatkiem, „o ile takowe nie sprzeciwiają się więziennemu porządkowi domowemu". Niestety atoli, w każdem więzieniu istnieje porządek domowy, pochodzący z czasów ciemnego absolutyzmu i wręcz sprzeczny z publikowanemi ustawami, ktore wskutek tego figurują jedynie na papierze, ale w praktyce wcale nie znajdują zastosowania.

Równocześnie z pomroki, panującej w dalszej części kurytarza więziennego, wynurzyła się maleńka, okrągła jak arbuz figura pana kerkermajstra, z dużą, opasłą głową na krótkiej szyji, z gładko wygoloną twarzą i z dobrodusznym uśmiechem na dużych, czerwonych i soczystych ustach. Stosownie do ówczesnych przepisów figurka ta ubraną była w mundur na pół wojskowy, ze szlifami oficerskiemi i ze szpadą u boku, co nadawało jej nadzwyczaj komiczny widok. Ale właśnie ów komiczny widok, którego sam kerkermajster był świadom, ów dobroduszny uśmiech, dźwięczny i łaskawy głos, prędki, drepcący chód — wszystko to znajdywało się w rażącej dysharmonji z ogólną fizjonomią zakładu więziennego, a w oczach aresztantów czyniło kerkermajstra jakąś postacią z innego świata, świeżą i sympatyczną. Mimo jednak pozornej dobroduszności był to człowiek nadzwyczaj surowy dla wszelkich przewinień swych podwładnych — aresztantów czy strażników — i nadzwyczaj punktualny i sumienny w pełnieniu obowiązków swej ciężkiej służby. Osobliwie strażnicy musieli mieć się przed nim na baczności. Toż nie dziw, że posłyszawszy jego głos, wojowniczy klucznik nagle opuścił grzebień i zmalał do niepoznania. Wyciągając się po wojskowemu, z twarzą zwróconą do kerkermajstra, zamiast bezpośredniej odpowiedzi na jego pytanie, rzekł tonem urzędowym:

— Jeszcze dwa cuwaksy, proszę pana kerkermajstra.

To mówiąc podał kerkermajstrowi »auftrag« protokołu podawczego.

— Co, to wy, chłopcy — rzekł kerkermajster, spojrzawszy na papier i zwracając się następnie do chłopców — za kradzież i skaleczenie? Bójcie się Boga, dzieci, co wyście narobili?

Bracia, ciągle jeszcze trzęsąc się całem ciałem, w niemem zdziwieniu patrzyli na niego dużemi oczyma, nie mówiąc ani słowa.

— Mój Boże! — krzyknął kerkermajster, zbliżając się do nich i przyglądając się im bliżej. Toż to biedactwo bose i napół nagie, przemokłe, zmarznięte! No, i mają że ci ludzie serce taszczyć ich w taki chłód z policji i jeszcze trzymać w klatce! Prędko, panie Trapiszewski, prędko! Rusz się pan! Przynieś im pan koszule, gacie, kitle i czapki. Wszystko, co trzeba! Chodźcie do mojej kancelarji, chłopcy, ogrzejcie się trochę, zaraz was przebierzemy! Mój Boże, mój Boże, nawet nad bydlęciem grzech by było tak się pastwić, a to przecież ludzie, dzieci! Co to rozumie o kradzieży! Pewnie gdzieś w sad wleźli, parę jabłek urwali albo coś podobnego — i zaraz to po kryminałach taskać!

Tak rozmawiając sam ze sobą, uczciwy kerkermajster odemknął kancelarję i wprowadził do niej chłopców. W kancelarji było chociaż nie bardzo jasno, ale za to ciepło. Przeziębli chłopcy stanęli koło pieca, by się rozgrzać. Czkawka ściskała ich gardła. Na rozmaite pytania, zadawane im przez kerkermajstra, nic nie odpowiadali, z podełba tylko, jak schwytane w lesie młode wilki, spoglądając na swego nowego władcę.

— Dzikie to, zastraszone, zaniedbane, przybite nędzą — i to ma sędzia sądzić! — mówił dalej sam do siebie kerkermajster, chodząc po kancelarji i od czasu do czasu poglądając na chłopców. Nie ich bym ja sądził, ale ich rodziców, którzy ich na taką drogę puścili.

— My nie mamy rodziców! — odezwał się nagle Władek tonem na pół zuchwałym, na pół żałobnym.

— A tak, to rzecz jasna! — zawołał kerkermajster, niby uradowany, że mu się jedna zagadka rozjaśniła. Sieroty, bez ojca, bez matki, kto o nich ma dbać. No, ale dosyć wam już stać koło pieca, jeszcze kataru dostaniecie! Chodźcie tu, rzucajcie te swoje mokre szmaty, tu macie suche, przebierzcie się.

Podczas gdy chłopcy przebierali się w jednym kącie kancelarji, kerkermajster usiadł na swem urzędowem krześle i wpisawszy, co było potrzeba do swej księgi, zwrócił się do klucznika.

— A co, panie Trapiszewski, ileż to nam dzisiaj cuwaksów przybyło?

— Piętnastu, proszę pana kerkermajstra.

— O, to dużo, to dużo! A masz pan jakie miejsce, żeby gdzie tych malców umieścić?

— Albo ja wiem, proszę pana kerkermajstra? Może jednego na 45?

— Ależ tam już jest piętnastu!

— A jeden by mógł pójść na 15.

— Ależ tam także już 10, choć to kaźnia tylko na 8, tak że dwóch musi spać na podłodze.

— No, to dam jednego...

W tej chwili Władek, tylko w koszuli i w gaciach szytych na dorosłego i wlokących się za nim po ziemi, zbliżył się i przerwał mowę klucznika.

— Proszę pana kerkermajstra — rzekł błagającym głosem — ja bym prosił, żeby nas dać obu razem.

— Obu razem? — rzekł zdziwiony tą zuchwałością klucznik. — Widzisz no go! Czego on chce! Obaj do jednej sprawy należą i obu razem ich dawaj. Żebyście się zmawiali, jak się przy protokole wykręcać!

I. Franko.

C. d. n.

LISTY SZWAJCARSKIE.

I.

Zjazd młodzieży uczącej się w Zurychu. — Znaczenie narodowe tych zjazdów. — Odczyty wygłoszone. — Przeważne uznawanie czynnika ekonomicznego. — Sprawa dopuszczenia kobiet do uniwersytetów w Krakowie i we Lwowie.

Zaczynam od zjazdu Zjednoczenia młodzieży na zagranicznych uniwersytetach uczącej się, który się odkył od 24. do 26. włącznnie grudnia

z. r. w Zurychu. Był to siódmy z kolei. Prócz zurychskiej, przybyła liczna młodzież genewska, stawili się delegaci paryscy i zjawili się także wysłannicy uniwersytetów niemieckich. Wszyscy owiani tchnieniem uczucia obywatelskiego, ożywieni wiarą w przyszłość swego narodu, przeświadczeni o potrzebie wspólnej i wytrwałej pracy dla wydźwignienia go z tej strasznej niedoli, w jakiej się znajduje. Czyż podobna, ażeby naród, którego synowie i córy mają tyle poczucia narodowego i tyle świadomości społecznej odbywającego się procesu dziejowego, w rzeszy innych jako wolny i równy z niemi nie zajął poczestnego miejsca w pracy nad ziszczeniem tego braterstwa powszechnego, które w piersiach ludów wznieciła Wielka rewolucja? Oj! nie zginęła, nie zginęła! I runie wśród przekleństw piekielne dzieło Bismarków i Hurków.

Takie wrażenie zrobił na mnie zjazd, i jestem przekonany, że każdy musiał wynieść podobne uczucie. Z tego już tylko względu zjazdy Zjednoczenia są ważnym czynnikiem pracy narodowej. W nowszej dobie młodzież podjęła w znacznej mierze to posłannictwo, które dawniej spełniała emigracja nasza. Wiąże ona naszą przeszłość z przyszłością, wprowadza sprawę narodową na ogólno-ludzkie tory i wzmacnia żywotność naszą tem przeświadczeniem, żeśmy potrzebni i konieczni.

Podstawą dyskusji ogólniejszego charakteru służyły trzy odczyty, zajmujące co do treści i starannie opracowane. Pierwszy prelegent, przedstawiwszy różnicę ustroju ekonomiczno społecznego przed powstaniem 1863 r. i obecnego w Polsce kongresowej, wysnuł z tego, że i w charakterze ruchu narodowego musiała zajść i istotnie zaszła ważna odmiana: przewaga interesów szlacheckich, która odbijała się w poprzednich ruchach, staje się niemożliwa w nowym, ponieważ szlachta straciła tę przewagę ekonomiczną, jaką była dawniej posiadała, a natomiast rosnąca świadomość klasowa wysuwa coraz bardziej na naczelne stanowisko lud pracujący. Prawdopodobnie myśl tę więcej własnemi, aniżeli autora słowami, wyrażam, ale to, bądź co bądź, istoty rzeczy nie zmienia. I drugi prelegent stanął na temże stanowisku, mówiąc o powstaniu Kościuszkowskiem. Połowiczność, jaką w niem widzimy, jest wynikiem tego układu sił ekonomicznych, jaki ówczesny ustrój przedstawiał. Te klasy, których interes najsilniej się zespolił z powodzeniem rewolucji, nie były jeszcze doszły do uświadomienia swego położenia, swej siły i swego znaczenia: mieszczaństwo było nieliczne i mało jeszcze politycznie wyrobione; lud zaś wiejski, przytłoczony ciężarem poddaństwa, nie miał jeszcze poczucia samodzielności. W każdym jednak razie rewolucja 1794 r. obudziła nowe pragnienia i roznieciła nowe dążenia, które podtrzymywane i rozwijane były przez demokratów. Powstanie 1863 r. sprawiło przełom społeczny. Z upadkiem przewagi szlacheckiej, wzmogło się poczucie samodzielności w klasach pracujących. Na widownię wystąpił proletarjat, klasa robotnicza, która dla spełnienia swego programu potrzebuje niepodległości politycznej swego narodu. Dzisiaj prawdziwym spadkobiercą myśli powstania Kościuszkowego, jest stronnictwo, przedstawiające interesy, potrzebę i dążenia ludu pracującego. Trzeci prelegent poruszył ważną kwestję emigracji do Ameryki, do wyjaśnienia której — trzeba zaznaczyć — wiele się przyczynił »Przegląd Emigracyjny«. Przedstawiwszy, że jest ona wynikiem warunków ekonomicznych, jakie istnieją w prowincjach polskich, i że bez radykalnej odmiany tych warunków, nic jej powstrzymać nie zdoła, prelegent wykazał liczbami, że ludność polska w Ameryce jest już potęgą i przyszedł do tego wniosku, że trzeba ją wzmocnić siłami inteligentnemi, ażeby ona nie marniała i z pożytkiem dla ogólnego dobra całego narodu pracowała.

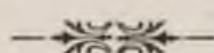
Przeważne uznawanie czynnika ekonomicznego uwydatniło się we wszystkich trzech odczytach, a nawet i w dyskusji. Zauważyliśmy jednak ogromny w tym przedmiocie postęp. Kiedy dawniej negowano stronę polityczną i widziano tylko ekonomiczną, dzisiaj zrozumiano ścisłą łączność jednej z drugą, i zbytecznie nawet — powiedziałbym — szuka się w ekonomicznych warunkach uzasadnienia potrzeby niepodległości, która jako sprawa życia, rozwoju, godności i wolności aż nadto sama w sobie jest jasna.

Pomiędzy sprawami, które podnoszono na zjeździe, żywe zajęcie wzbudziła sprawa dopuszczenia kobiet do uniwersytetów w Krakowie i we Lwowie. Uchwalono wysłać w tym przedmiocie petycję do senatów akademickich w Krakowie i we Lwowie, oraz prosić koło polskie w Wiedniu przez pośrednictwo posła Lewakowskiego, ażeby ze swej strony poparło tę sprawę. Mamy w Szwajcarji i w Paryżu kilkadziesiąt studjujących Polek. Dla czegożby nie pozwolić im studjować w kraju ojczystym, wśród przyjaźniejszych dla życia warunków? Podobno, zgłaszającym się do uniwersytetów galicyjskich kobietom odmawiano na tej podstawie, że nie miały matury austrjackiej. Byłby to jednak niegodny formalizm. Przecież uniwersytety: genewski, zurychski, paryski, chyba nie stoją niżej pod względem ścisłości naukowej i głębokości filozoficznej wykładów profesorskich od krakowskiego i lwowskiego, a jednak przyznają większej części zgłaszających się kandydatek, że mają one dostateczne uzdolnienie i przygotowanie do korzystania z tych wykładów. Należy się spodziewać, że światli profesorowie, a jest ich przecież spora liczba, postarają się o to, ażebyśmy na drodze postępu nie szli wciąż w ogonie za innymi narodami i nie czekali, aż zostaną dla kobiet otwarte uniwersytety niemieckie i austrjackie, a że to ostatnie nastąpi i to dosyć prędko, jesteśmy mocno przekonani.

B. L.

Przegląd pism.

„Wisła“. Zeszyty 2. i 3. tomu VII. — Warszawa. — 1893.



Dwa najświeższe zeszyty tego cennego wydawnictwa nie ustępują pod względem bogactwa treści innym. Każdy zeszyt rozpada się na trzy działy: rozpraw i materjałów, poszukiwań oraz sprawozdań. Na czele zeszytu drugiego spotykamy zajmującą pracę L. Krzywickiego: »Rola zwierząt w pojęciu pierwotnej umysłowości«. Przedstawione tu zostały wyniki badań poglądów kosmogonicznych człowieka pierwotnego. Człowiek pierwotny nie przeciwstawia siebie reszcie świata żyjącego jako oddzielnego królestwa, nie uważa siebie za jedynie mądre i jedynie społeczne stworzenie na ziemi. Przeciwnie, jego społeczność jest tylko cząstką obszerniejszej społeczności kosmicznej; pomiędzy nim, a istotami innego gatunku istnieje nić solidarności krewniaczej, wiąże go z niemi wspólność pochodzenia i obowiązek wzajemnej pomocy. Obok tego człowiek pietwotny czci w zwierzętach istoty wyższe, mądrzejsze, potężniejsze. Zooteizm też jest najpierwotniejszą filozofją ludzkości. Jednakże z postępem techniki i wiedzy zooteizm poczyna stopniowo zanikać i zwierzęta z czasem zostają zastąpione przez postacie naprzód półludzkie potem całkowicie ludzkie. Szczątki tych poglądów pierwotnych zachowały się do dziś dnia w przesądach ludu naszego.

Dr. H. Biegeleisen w obszernej pracy: »Studja nad pieśniami i obrzędami weselnymi« udawadnia na podstawie wielkiej ilości materjałów etnograficznych, zgromadzonych w najrozmaitszych zakątkach kuli ziemskiej, że we współczesnych obrzędach weselnych przechował się ślad gwałtownego porywania młodej.

Piękne studjum folklorystyczne daje W. Bugiel w pracy »Tło ludowe Balladyny«, w której rozbiera jeden z najbardziej rozpowszechnionych motywów twórczości ludowej, mianowicie bajkę o cudownej piszczałce. W dwóch dotąd wydrukowanych częściach autor tylko gromadzi i klasyfikuje różnorodne wątki tego tematu.

Oprócz wymienionego powyżej studjum dr. H. Biegeleisena, znajdujemy w dwóch tych zeszytach kilka prac również poświęconych obrzędom weselnym. W. Tatar skrzętnie notuje zwyczaje, towarzyszące obchodowi weselnemu w Bierkowie pod Krakowem, dr. K. Matyas opisuje jeden epizod z wesela w sandeckiem, mianowicie »czepiny«, a S. Jastrzembowski podaje obszerną mowę, zapraszającą na wesele z łęczyckiego. Na szczególną wszakże uwagę zasługuje cenna praca, obfitująca w ogromną ilość ciekawych materjałów do etnografji i mitologji porównawczej, »Wesele litewskie w okolicy Wielony«, napisana przez znanego miłośnika litewszczyzny ks. A. Juszkiewicza. Praca ta była już drukowana po litewsku, dla »Wisły« zaś przełożył ją dr. I. Kopernicki.

Etnografji litewskiej dotykają artykuły I. Kiborta »Żmujdzkie prawo bartnicze« i »Charakterystyczne wyrażenia żmujdzkie«.

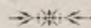
Artykuły I. Kiborta: »Humor ludu żmujdzkiego« i »Chłop jako satyryk« M. Witanowskiego wkraczają w dziedzinę psychologji ludu. E. Oczykowski opisuje szopkę w Łowiczu, dr. W. Olechnowicz podaje przyczynek do charakterystyki antropologicznej mieszczan Lublina na podstawie pomiarów, zbieranych w jednym ze szpitalów warszawskich. W. Nałkowski, śledząc postęp nauki geografji w Europie zachodniej, regestruje jej zdobycze w r. 1892 dokonane.

Kilka prac mniejszych, pióra ks. A. Pleszczyńskiego, M. Witanowskiego, ks. W. Siarkowskiego, Z. Wolskiego, L. Hempla i R. Lubicza, mnóstwo drobnych wiadomości, rozsianych w dziale poszukiwań, nareszcie sprawozdania i recenzje uzupełniają bogatą treść każdego z tych zeszytów.

L. Wasilewski.



Z RUCHU LITERACKIEGO.



Ceysinger Helena: Ze znalezionych kartek. — Warszawa 1894. Str. 159, złr. 1.05.

Dickstein S.: Matematyka i rzeczywistość. Szkic. — Warszawa 1894. Str. 43, ct. 45.

Dominek Franciszek: Dzieci muzy. — Komedja w 1. akcie. Warszawa 1893. Str. 45, ct. 42.

Gamaston: Fotografja bez retuszu. Zbiór opowiadań. Kijów i Odessa 1894. Str. 333, złr. 1.68.

Gawalewicz Marjan: Stare długi. Sztuka w dwóch aktach, oryginalnie napisana. Warszawa 1894. Str. 58, ct. 56.

Loti Piotr: Marynarz. (Matelot). Warszawa 1894. Str. 183. ct. 70.

Maspero G: Opowiadania historyczne. Egipt i Assyrja. Przełożył J Popławski. Warszawa. 1894. Str. 492, złr. 2.52.

Nałkowski Wacław: Zarys geografji powszechnej (Rozumowej). Wydanie drugie, przez autora przejrzane i dopełnione. Warszawa 1894, Str. 516, złr. 3 50.

Pałko Stanisław: Wykład pisowni polskiej w dyktandach, według uchwał Akademji Umiejętności w Krakowie. Warszawa 1894. Str. 175. ct. 81.

Prus Bolesław: (Aleksander Głowacki). Emancypantki. Powieść w 4. tomach. Warszawa 1894. Str. 376, 318, 270, 417. złr. 7.

Rapacki W. (Syn): Pan Bonifacy. Farsa w 1. akcie. Warszawa Str. 28. ct. 42.

Drugą część artykułu: »Kilka uwag o Życiu« podamy w następnym numerze.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.